

BIULETYN INFORMACYJNY

PULAWY

3VIII1981 NR 45(53)

NIEZALEZNEGO
SAMORZADNEGO
ZWIAZKU
ZAWODOWEGO

Rok II



SOLIDARNOŚĆ

ZIEMI PUŁAWSKIEJ

REGION ŚRODKOWO-WSCHODNI

Pismo wydawane przez Zarządzie Oddziału ZIEMIA PUŁAWSKA

WSZECHNICA ROBOTNICZA

**STEFAN
ŻEROMSKI**

**NA PROBOSTWIE
W WYSZKOWIE**

Przedruk :

**niezależna
oficyna
wydawnicza**

Warszawa 1978

XX

SOLIDARNOŚĆ ZIEMI PUŁAWSKIEJ - pismo wydawane przy Zarządzie Oddziału Ziemia Puławska /region Środkowo-Wschodni/

Redaguje zespół w składzie :

Hanna Czekał, Andrzej Kowalczyk, Krzysztof Małagoński,
Włodzimierz Zbiniewicz.

Adres redakcji: 24-100 Puławy, Al. Jedności 19, pok. 140.
tel. 33-69

Biuletyn do użytku wewnątrzwiązkowego

XX

PRZEDMOWA

Nie przedmowa ta winna poprzedzać "Na probostwie w Wyszku" - lecz piękny list profesora Stanisława Piłgona do ówczesnego przewodniczącego Polskiej Akademii Nauk, profesora Tadeusza Kotarbińskiego, w którym senior historyków literatury pisał: "Wołam o wolność słowa dla Stefana Żeromskiego". Było to przed przeszło 20 laty - i nie sędzę, by należało dziś odwlekać wydanie tej książeczki aż do odnalezienia tego smutnego dokumentu bezradności polskiej literatury i nauki wobec bezprawia cenzury. Doświadczenia uczą, że gdy jest możliwość zrobienia czegoś, by bezprawie to ograniczyć - należy się spieszyć. Kto wie, czy gdyby profesor Piłgón zdążył z edycją tomu publicystyki Żeromskiego, tak by mógł się on ukazać w tych niespełna 33 miesiącach największej swobody cenzuralnej, jaka panowała po Październiku 1956 r. - nie mielibyśmy dziś na półkach książki, zawierającej nie tylko "Na probostwie w Wyszku" - lecz również "Snobizm i postęp", cykle publicystyczne "Bicze z piasku" i "Inter arma" /do którego "Na probostwie w Wyszku" należy/ oraz "Projekt Akademii Literatury Polskiej". Gdy zaś tom był edytorsko gotów - cenzura go nie przepuściła, głównie ze względu na ten właśnie szkic, który dziś oddajemy czytelnikowi do ręki; chociaż i pozostałe nie mogą się cieszyć uznaniem w oczach cenzorów i ideologów partyjnych. St. Piłgón był zdania, iż publicystyki Żeromskiego nie można wydawać w ten sposób, by tylko jej część nie rażąca cenzora ukazała się drukiem, zrezygnował więc z reszty. Tym samym cała ta publicystyka pozostała nieznana tym wszystkim, którzy zadawali się muszą w swych lekturach książkami wydanymi po wojnie. Był

moment, gdy w bibliotece "Po Prostu" miał się ukazać "Porządek świata pracy" wraz z "Organizacją inteligencji zawodowej" /ze zbioru "Bicze z piasku"/; wiadomo, że wśród różnych tendencji ideowych, które znajdowały wyraz w "Po Prostu" i w dyskusjach "Klubu Krzywego Koła", istotną rolę odgrywała tradycja myśli społecznej Abramowskiego; Żeromski zaś w znacznej części swej ideologii społecznej do tej właśnie tradycji należy. Nie zdążyliśmy: przyszedł październik 1957 roku i "Po Prostu" zostało rozwiązane, czemu towarzyszyły pierwsze po wojnie rozruchy na ulicach Warszawy. Jak pisze autor "Traktatu moralnego" /Tak mi się napisało zamiast "Czesław Miłosz", bo ćwierćwiekowe już przyzwyczajenie omijania cenzury stało się nawykiem/-" co zdążysz zrobić to zostanie, choćby ktoś inne mógł mieć zdanie". Tym razem szkic "Na probostwie w Wyszkowie" trafi do rąk czytelników.

Zaczyna się ten szkic jak banalny reportaż z dziennika, bo tak był właśnie pisany, tyle że to reportaż sprawozdawcy wojennego, postępującego jednak nie tuż za frontem czy nawet z frontem, lecz później, gdy miejsca zmagania już prawie ostygły. Ale na probostwie w Wyszkowie ślad po Marchlewskim, Dzierżyńskim, Feliksie Kohnie - jest jeszcze ciepły. Słyszymy echa ich słów, autor słodzi sobie herbatę ich cukrem... Marchlewski i Kohn - to znajomi Żeromskiego. Dzierżyńskiego "miał szczęście nie znać osobiście".

I tu, po reporterskim zapisie drobiazgów i po przypomnieniu sobie ludzi, którzy tu, na probostwie, dopiero co pili herbatę - następuje jeden z najwspanialszych utworów publicystycznych w dziejach polskiej literatury, wielka diatryba godna Skargi; jest w niej cały Żeromski: i w gorzkim rozrachunku krzywd społecznych, i w zachwycie nad niezwykłym fenomenem obrony zagrożonej Ojczyzny przez wydziedziczonych i poniewieranych, aż po wiecowe: "Precz z reakcją! Rzucajmy, ludzie wolni, kamieniem potępienia na wszystkich pisarzy, co do reakcji wzywają lub wzywać będą, co niedolę proletariatu bezrolnego chcą ukryć przed narodem, zbagatelizować, zasłonić frazesami!" - i po utopijne, z ducha Mickiewiczowskiej "Ody do młodości" wezwanie: "Trzeba ruszyć z posad Polskę starą".

Nie obszedł się Żeromski łagodnie z komisarzami Tymczasowego Komitetu Rewolucyjnego: "Kto na ziemię ojczystą, chociażby grzeszną i złą, wroga odwiecznego naprowadził, zdeptał ją, splądrował, spalił, złupił rękoma cudzoziemskiego żołdactwa, ten się wyzuł z Ojczyzny". Ciekawe, że Żeromski miał w tym oskarżeniu nieoczekiwanych sojuszników, wychodzących z z innych niż on założeń, i z innego w ogóle ideowego punktu wyjścia, bliższego Marchlewskiemu i Kohnowi, co jest tym większym oskarżeniem. Gdy Armia Czerwona szła na Warszawę, a za jej plecami Dzierżyński, Marchlewski, Kohn i pozostali, inny polski komunista - Henryk Stafa /"Kamiński", "Domski"/, składał w Kominternie protest przeciwko przekroczeniu polskich granic etnicznych, argumentując, że na obcych bagnietach nie można przynieść nikomu prawdziwej, autentycznej rewolucji.

Święcąc 60 rocznicę odzyskania niepodległości - winniśmy pamiętać również o uratowaniu tej Niepodległości na najbliższe 19 lat, w sierpniu 1921 roku. Strach pomyśleć, jakby przebiegała na ziemiach polskich kolektywizacja, ile milionów istnień pochłonęłyby terror Cze-ka i później - terror Stalinowski lat 30-tych...

Diatryba Żeromskiego przeciw tym, którzy szli wówczas z taborami Armii Czerwonej na Warszawę była w pełni zasłużona i powinna być dobrze pamiętana.

Jan Józef Lipski

P.S.

W pośpiechu dziennikarskiej roboty Żeromski nie sprawdził niektórych informacji, takich np. jak o zamordowaniu Róży Luksemburg "na ulicach Berlina przez rozjuszoną ludność". Padła ona ofiarą mordu kapturowego, dokonanego przez oficerów Frei-korpusu. Pomyłek tych, lub miejsc wymagających komentarza nie jest na szczęście wiele - toteż zrezygnowano z przypisów.

JJL

Podczas srogiego deszczu, który lał, w istocie, jak z cebra, pomknął z pustych ulic Warszawy automobil na leżący do Oddziału Drugiego Inspektoratu Generalnego Armii Ochotniczej, dając w swem wnętrzu schronienie przed ulewą prof. Ferdynandowi Ruszczycowi, p. Adamowi Grzymale-Siedleckiemu, p. Modzelewskiemu wraz z jego aparatem kinematograficznym, niżej podpisanemu, oraz dwu szoferom. Papiery podróŜne wyznaczały kierunek na teren operacyjny frontu północnego. Skacząc, jak piłka, po kamiennych bulwach przedmieść Pragi, doskonały pojazd wydostał się na szosę radzywińską, na ów niepozorny szlak, co przed dwoma tygodniami ściągał na siebie oczy całej Polski, a nawet oczy całego świata. Miałem już być zaszczyt poznać tę drogę przed dwoma dniami, wśród podrygów sroŜszego rodzaju w automobilu ciężarowym wraz z korespondentem pism francuskich p. Genety, p. Irzykowskim, Pilarzem i Mierzyńskim, bez dotarcia do zamierzonego celu, gdyż popsuta rurka motoru udaremniła wówczas wyprawę. Ślad krótkotrwałych walk można było dostrzec tuŜ za ostatnimi umocnieniami z drutu i szeregiem rowów na pobrzeŜu lasów, a przed szerokimi błotnami rozlewiskami: wzdłuŜ traktu ciągnęły się ciemne znaki schronów ziemnych, równoległe i symetrycznie wykopanych przez żołnierzy bolszewickich. Raz wraz przerywały jazdę popsute mosty. Gdy jeden z takich byłych mostów wypadło objechać, zbacząc z traktu na łąkę, automobil zarzął się w rozmiękle od ulewy pastwisko i w oczach, niemal, coraz głębiej zapadał. Trzeba było opuścić jego suche wnętrze i podczas najzacieklejszej nawałnicy windować ciężkie pudło do góry. Na szczęście żołnierze, zatrudnieni przy naprawie mostu przyszli z pomocą panom szoferom. Zapadnięte koła; przy uŜyciu lewara, który los szczęśliwy tam zesłał, wydobywano z błota; i podsuwano pod nie deski, aŜ cały samochód wydzwignięto na grunt stalszy.

Nim jednak to nastąpiło, ulewa przemoczyła nas wszystkich do szpiku kości. Stojąc wśród mokradła, mieliśmy wrażenie, iż sami na wzór samochodu, w topiel się zanurzamy. Nieskończone wozy trenu, oddziały konnicy i piechoty, ciężkie automobile ze sprzętem wojennym, pojazdy wracające z rannymi, utrudniały dalszą drogę, gdy już stanęliśmy znowu na bitym trakcie. Gdy wreszcie ruszyliśmy dalej, dosyć zgodnym chórem, mimo przekonaniowych różnic, szczękaliśmy zębami. Wkrótce ukazał się Radzymin ze zgliszczami w środku rynku jeszcze dymiącymi, z domami poprzewiercanymi od pocisków i cmentarną pustką, która legła w zbombardowanych placach i zaułkach. Z Radzymina posunęliśmy się już żywiej do Wyszkowa. Zbliżając się do tego miasteczka, spostrzegliśmy most na Bugu w stanie opłakanego zniszczenia. Trzeba było przeprawić się za rzekę przez most kolejowy, a więc znowu windować samochód po głębokim piasku i przepaścistych wybojach. Gdy wreszcie dotarliśmy do środka miasta, objaśniano nam w wojskowej komendzie, iż generał Józef Haller bawi właśnie na probostwie. Indywidua z nogami gruntownie przemoczonymi i bielizną, która przejmuje dreszczem za każdym poruszeniem ciała, nie są w stanie przykłaść należytej wagi do czci najwyższych dostojenstw, tytułów najbardziej zasłużonych, a nawet w sposób go dziwy szanować cudzego prawa do posiadania domu i je go ciszy. Co gorsza, w każdym z takich przemarzłaków budzą się niezdrowe i surowo zakazane rojenia o natiychmiastowości kielicha tęgiej gorzałki - gdyby nawet był, jak niżej podpisany, wieloletnim i aż do znudzenia wytrwałym antyalkoholikiem. Na szczęście, drzwi mieszkania proboszcza w Wyszkanie, księdza kanonika Mieczkowskiego, same się gościnnie otwarły, gdy zameldowano gospodarzowi ludzi przemokniętych. Za staliśmy w dużym pokoju, oprócz wiekowego plebana i jego wikaryusza. księdza Modzelewskiego - generała Hallera i ambasadora francuskiego, p. Jusseranda. Trafiliśmy właśnie na sam środek relacji kanonika o po bycie w jego domu w ciągu ubiegłego tygodnia "rządu polskiego" z ramienia Rosyjskiej Republiki Rad, złożonego z rodaków naszych - dr. Juljana Marchlewskiego, Feliksa Dzierżyńskiego i Feliksa Kohna. Trudno było wśród zagadnień tak wysokiego poziomu, jak zmiana rządu, systemu społecznego i natury rządu w Pol-

sce, jak wywrócenie do góry nogami całego administracyjnego współżycia warstw społecznych, wyjeżdżać z poziomą prośbą o wyżej wzmiankowany kieliszek kmin - kówki, a choćby "czystej". Na szczęście ksiądz wikary, powodowany starą zasadą gościnności, której tak wielkie fenomeny wojny nie zdołały wywrócić, zarządził postawienie przed każdym z nas szklanki gorącej herbaty. Co więcej - w cukiernicy, która, jak ziszczenie pięknego marzenia, z ręki do ręki krążyć poczęła, oży nasze ujrzały na jawie cukier kostkowy w najlepszym gatunku i okazałej obfitości kawałków. Ksiądz wikary, nie przerywając bynajmniej poważnego dyskursu ambasadora Jusseranda z księdzem kanonikiem Mieczkowskim, zdołał szepnąć nam, przybyszom do ucha: - Proszę brać, proszę śmiało!... To cukier p. Marchlewskiego, zostawiony przezeń w popłochu ucieczki..

O, dziwna, przedziwna niekonsekwencjo wszystkiego pod utwierdzeniem! O, śmieszności rzeczy wysokich, gdy nie mogą ustać swoją przyrodzoną potęgą!...

Wejrzawszy na ów cukier, tak doskonały, poczułem się oto nagle jego prawowitym właścicielem i trzy co najgrubsze kawałki wrzuciłem odruchowo, ku zgorzeleniu obecnych, do szklanki. Zapijając gorącą herbatę, jak przez sen przypomniałem sobie postać d-ra Juliana Marchlewskiego. Pierwszy raz widziałem go niegdyś, przed wieloma laty w pracowni bibliotekarskiej Rapperswyłu, w izbie na drugim piętrze, o prastarem, niskim sklepieniu, ciasnej i zapchanej mnóstwem książek, katalogów i rękopisów. Pewnego zimowego dnia przyjmowałem i obsługiwałem, jako bibliotekarz, Różę Luxemburg i Juliana Marchlewskiego. Czyż można było wówczas przypuścić, że w tych niepokąźnych figurach dwojga wywołańców, zbiegów, emigrantów - obsługuję przyszłą męczennicę spartakowskiej rewolucji, zamordowaną w bestyalski sposób na ulicach Berlina przez rozjuszoną ludność, - oraz przyszłego wielkorządcę naszej biednej ojczyzny, - krótko, co prawda, sprawującego swą nad nami władzę i, jak dotychczas, w niepokąźnym Wyszkuwie. Nasycając się niezrównanym gorącym i zatapiając z lubością w smak bolszewickiego cukru, przypomniałem sobie nadto, że przecież dr. Julian Marchlewski to jest mój szanowny wydawca. Posiadam stos jego listów, w których na licznych arku -

szach spisane są statuty, umowy, kontrakty co do tłumaczenia pewnych moich pisanin na język niemiecki. Ponieważ, mimo owych statutów i wieloparagrafowych kontraktów, zapewniających mi niebyle jakie korzyści materialne, - mimo, iż przekład niektórych utworów został wyczerpany, gdyż nabywca imprezy wydawniczej d-ra Juliana Marchlewskiego, Petzold, zwracał się do mnie z prośbą o prawo wydania nowej edycji tegoż przekładu, - z owych szeroko opisanych i solennie zapowiedzianych korzyści materialnych mam w zysku tylko cenne autografy d-ra Juliana Marchlewskiego, poczułem się, jak powiadam, prawowitym właścicielem cuku, zostawionego przezeń w Wyszku i, na rachunek ewentualnych, da Bóg doczekać, honoraryów, wpakowałem do drugiej szklanki herbaty łaskawie podanej przez domowników księdza Mieczkowskiego, nowe trzy kawały bolszewickie. Opity i rozgrzany przypominałem sobie drugiego z wielkorządców - Feliksa Kohna. Widywałem go na procesie Stanisława Brzozowskiego w Krakowie, jako jednego z sędziów. Postać wywiędła, zniszczona, człowiek jakgdyby ze mgły, o twarzy sympatycznej nerwowego utopisty, - bohater warszawskiego "Proletaryatu". Jeden z tych, których dumne cienie w kajdanach widywało się na zbiorowej fotografii "proletaryatczyków" w izbach socjalistów. Trzeciego - Feliksa Dzierżyńskiego - mam szczęście nie znać osobiście. Nigdy nie byłem w promieniu jego jurysdykcji i cieszę się świadomością, iż nigdy nie widziałem ani jego twarzy, ani nie dotykałem ręki krwią obmazanej po łokieć, ani słyszałem wyrazów, z jego ust wychodzących. Wyznaję, iż to imię i nazwisko, wymówione w mej obecności, sprawia na mnie obmierzłe wrażenie duszności i jakby torsyi. Ci tedy trzej mężowie, gotujący się w cichym domu ustronnego probostwa do odegrania wielkiej roli na placach, tylekroć przez obcy najazd zdeptanych i w gmachach Warszawy, tylekroć znieważonych przez cudzoziemca - byli przedmiotem ożywionej rozmowy. General Haller tłumaczył ambasadorowi Jusserand'owi na francuskie opowieść księdza kanonika. Proboszcz wyszkowski poznał był całkowitą ideologię bolszewizmu z jego strony zasadniczej, dogmatyczno-ideowej, jakby teologicznej, "pryncypialnej". Ponieważ miał możliwość prowadzenia z trzema dyktatorami i n s p e długich rozmów zdawał tedy sprawę z ich przebiegu. Pan Ju-

asserand troskliwie notował sobie co ważniejsze nczce góły i najbardziej soczyste wyrzeczenia. Trudno by tu było powtarzać te lokucye i dyskusye na temat wolnej woli, rewolucyi, moralnego posłannictwa siły jednostek obdarzonych świadomością i wiedzą dobra, zwłaszcza, iż podane z ust do ust mogłyby stracić na prawdziwości i dokładności. Zresztą - tyle już razy o tych rzeczach pisano! Przyszli władcy Polski i Warszawy, według relacji wszystkich obecnych, byli otoczeni silną strażą, która z nabita bronią pilnowała ich kwatery na plebanii, jeździli znakomitym i wytwornym automobilem, jedli i pili doskonale, spali wygodnie. /Zawsze zadaję sobie pytanie, czem też ludzie tego rodzaju, zarabiają na to dostatnie życie? Głosząc zasady prawa, opartego jedynie na pracy, sami stoją na poziomie wszystkich zwyczajnych władców, którzy swe stanowisko oddziedziczyli, lub posiadli na mocy takiej lub owakiej intrygi/.

Szyby okien na probostwie były powybijane przez kule. Stojąc przy jednym z tych okien i przez dziurę w szkłe patrząc w cichy ogród, dziwiłem się, ile to w tem zaciszu w ciągu krótkiego czasu dokonało się przemian. Ludzie, o których była mowa, jakby żywe kształty abstrakcyjnych idei przychodzili i odchodzili, przeciągali przez to mieszkanie, przynosząc ze sobą istne kłęby inwektyw, skarg, marzeń, złudzeń, obłąkań, - mówili o tyranii, krzywdach, morderstwach, torturach, przekleństwach i śmierci w rozpacz, nie spostrzegając wcale, iż sami wdrapują się na tę samą wyniosłość, wyślizganą przez męczeńskie kolana i że zemsta cierpiących wpycha im znowu w ręce berło tyranii...

Któż to byli ci trzech goście, którzy w tych izbach mienili się rządem polskim? Czy ich lud polski wybrał, czy ich ktokolwiek na tej ziemi mianował? Lud polski, czy naród polski, tak rozumiany, jak to jest w ich zwyczaju, nie naznaczał żadnego z nich na godność, którą sobie wybrali. Naznaczeni zostali przez kogoś wyższą, w obcym kraju, w swym zespole, w swej partyi. Jako takich możnaby ich nazywać tylko komisarzami w znaczeniu, jakiego ten wyraz nabrał w

opinii ludowej polskiej podczas długoletniej działalności komisarzy "p o k r e s t j a ń s k i m d i e ł a m", za poprzedniej inwazyi carów moskiewskich na ziemię polską. I tamci stawali przecie w obronie ludu polskiego wobec ucisku szlachty. Tamci także opierali pomoc swoją dla chłopów polskich na nieprzeliczonej ilości bagnietów. Jedna tylko różnica: tamci komisarze nie byli z naszego rodu. Krew polska nie płynęła w ich żyłach. Ci rodacy dla poparcia swej władzy przyprowadzili na nasze pola, na nędzne miasteczka, na dwory i chałupy posiadzicieli, na miasta przywalone brudem i zdruzgotane tyloletnią wojną - obcą armię, masę, złożoną z ludzi ciemnych, zgłodniałych, żądnych obłowienia się i soldackiej rozpusty. W pierwszym dniu wolności, kiedyśmy po tak strasznie długiej niewoli ledwie głowy podnieśli, całą Moskwę na nas zwalili. Na ich sumieniu leżą zgwałcenia przez dzicz soldacką naszych dziewcząt i kobiet. Na ich sumieniu leży zniweczenie nie zasobów i skarbów materialnych, bo te mają wartość względną i mogą być powo- towane, lecz zniszczenie zabytków przeszłości, unikatów, pamiątek po pradziadach, ojcach, dzieciach, potłuczenie kulami witraży i dzieł sztuki, bezmiernym trudem artystów wykonanych w kamieniu, drzewie, metalu, malowideł i tworów ludzkiego marzenia, utrwalo- nych w opornym materiale, które rzesza ciemna z moskiewskich rozłogów tutaj przygnana zdruzgotała, rozkradła, uszkodziła i uniosła, a które już nigdy ludzkich oczu cieszyć nie będą. Są bowiem przedmioty nie zbytku, lecz czystego artyzmu, które mają wartość wyższą, niż wszystko, które winny być niedotykane, nie dostępne, ponieważ mówią do nas z wieczności o wieczności, zamkniętej w nas samych. Za zniszczenie tych przedmiotów ci komisarze są odpowiedzialni. Oni to te wszystkie pisma, druki, zabytki i rzeczy sztuki podali do rąk nic niewiedzącego motłochu.

Zachodzi pytanie, jakim się to mogło stać sposobem, że, jak niegdyś carscy komisarze, tak obecnie sowieccy komisarze, znaleźli drogę do naszych miast i wsi, do naszych kościołów, domów i skarbów sztuki? Jakim się to stało sposobem, że zarówno tamci, jak i ci, to tu, to tam znaleźli posłuch u naszego ludu? Trzeba to wyznać otwarcie i bez osłony, że lenistwo ducha Polski, cudem z martwych wskrzeszonej, ściągnę

ło na tego ducha batog bolszewicki. Polska żyła w leniństwie ducha, opłataną przez wszelakie gałęziństwo, paskarstwo, łapownictwo, dorobkiewiczowstwo kosztem ogółu, przez jałowy biurokratyzm, dążenie do kariery i nieodpowiedzialnej władzy. Wszystka wzniosłość, poczęta w duchu za dni niewoli, zamarła w tym pierwszym dniu wolności. Walka o władzę, istniejąca niewątpliwie wszędzie na świecie, jako wyraz siły potęg społecznych, partyi, obozów i stronnictw, w Polsce przybrała kształty monstrualne. Nie ludzie zdolni, za służeni, wykształceni, mądrzy, których mamy dużo w kraju, docierali do steru władzy, lecz mężowie partyi i obozów, najzdolniejsi, czy najsprytniejsi w partyi, lub obozie. Jak po spuszczeniu wód stawu, ujrzeliśmy obmierzłe rojowisko gadów i płazów. Gdy to dostrzec mógł każdy na widowni publicznej, w głębiach pozostało to samo, co było za dni niewoli. W samem Królestwie żyje olbrzymia armia ludzi bezrolnych i bezdomnych. "Rocznik Statystyczny Królestwa Polskiego" z roku 1914 opracowany pod kierunkiem Władysława Grabskiego, obecnego ministra skarbu, mówi /str.60/: - "kategoria ludności, zwanej bezrolną, stanowiąca warstwę robotników rolnych, wyrobników wszelkiego rodzaju i służbę, ludność pochodzenia włościańskiego bez roli i fachu... stanowiła w r. 1901 - 18,1% wśród ludności wsi i miasteczek. Ludność bezrolna we wsiach tylko w okresie czasu od roku 1891 do 1901 wzrosła od 13,2% do 17,2% ludności wiejskiej". To nie sto tysięcy parobków, mających bądź co bądź pracę, zarobek i legowisko w czworakach, lecz półtora miliona /wówczas, w 1901 r./ mieszkańców błakało się wśród naszych wsi i miasteczek, żyjąc z dnia na dzień na komornem, nie mając gdzieby głowę skłonić. Wówczas - 500,000 ludzi chodziło rok rocznie na roboty sezonowe do Niemiec, a przemysł fabryczny odciągał ze wsi i osad znaczną ilość bezrolnych. W przeciągu 19 lat dorosło nowe pokolenie wydziedziczonych. Emigracja sezonowa zatamowana jest przez powojenny stan rzeczy, a przemysł fabryczny nie istnieje. Cóż uczyniliśmy dla tego olbrzymiego narodu bez roli i dachu, przyku tego do roli, - dla tych komorników, wyrobników, dla tego najistotniejszego proletaryatu, którego pełno jest w naszych wsiach i miastcinach, gdy mieliśmy ręce rozwiązane z pęt niewoli i możność czynienia co

chcemy? Oto do nich przyjechali w goście trzech komisarze wyszkowscy! Daremne były głosy, żeby szerokie, wieczyste, najbardziej nowoczesne i najbardziej w owoce wydajny bogate prawo do ziemi postawić w pierwszym dniu nowego świata pracy we wskrzeszonej ojczyźnie. Nikt nie wysłuchiwał tych głosów. Gdyby nie było na ziemiach w jedno złączonych, przez los szczęśliwy nam danych, tych rzesz bez roli, które na miliony się liczą w samym tylko Królestwie, które do ziemi są przykute, gdyż odejść od niej nie mogą nigdzie, w prawo ni w lewo, - chyba w głąb ziemi tej, w mogilę ziemską, - jakże by był do naszych drzwi znalazł drogę nieprzyjaciół, co walkę o dolę bezrolnych i bezdomnych za hasło swoje wypisał na sztandarze? Nie zo stały wysłuchane głosy, ażeby na sztandarze Polski nowej wypisane zostało hasło nie niższe od bolazewickiego, lecz wyższe, świętsze, sprawiedliwsze, mądrzejsze, ponad śnieg bielsze. Śmiano się z głosów tych. I oto teraz na ostrzu bagnetu chińczyka, w świetle nahażki kozaka, wśród turkotu kulomiotów, nastawionych przez łotysza przeciwko niewinnej, najzaczniejszej w Polsce krwi młodzieńczej, miało się nam objawiać nowe prawo, narzucone zzewnątrz, prawo wyższe, głębsze i sprawiedliwsze, niż nasze. Stał między nami i tem wojskiem zzewnątrz przychodzącem wielomilionowy bezrolny i bezdomny lud i miał między ojczyzną i przychodniemi wybierać.

O, Polacy! Niech wasze ręce składają się do modlitwy, albowiem ci bezrolni i bezdomni Polskę wybrali. To nic, że tam i sam, ten i ów poszedł z rozpaczą za wrogiem. Cały bowiem lud polski poszedł w bój za ojczyznę. Opasali się pasem żołnierskim nędzarze, którzy na własność w ojczyźnie mają tylko grób, i z męstwem, na którego widok oniemiał z zachwytu świat, uderzyli w wojska najeźdźców. Od krańca ziemi polskiej do drugiego krańca, gdziekolwiek brzmi nasza mowa, jeden się podniósł krzyk: niech żyje ojczyzna! Alboż nie widział świat tego nieopisanego zjawiska? Alboż nie było tak? Zapomniane zostały wszelkie, czyjekolwiek winy i, jak Grecy pod Maratonem, zniweczyliśmy wroga. Kto w chwili najazdu moskali na kraj stawał do obrony swego pałacu, dworu, domu w mieście, swej posiadłości, mieszkania pełnego mebli, obrazów

i pamiątek, swej chaty na działce ziemi, zagrody i dobytku, swej posady i stanowiska, - wiedział czego broni, broniąc ojczyzny. Lecz ten, kto nie posiadał nic zupełnie, stając do obrony ojczyzny, nie wiedział, o co walczy. Bronił przyszłego dobra w ojczyźnie. Bronił dóbr cudzych, bronił nietykalności pałacu, szczęśliwego prosperowania dworu, praw do komornego z domu w mieście, bronił mieszkań, których nigdy nie widział i nie zobaczy, bronił wreszcie władzy, która jego samego depce częstokroć bezlitosną stopą. Włóścianin, posiadacz ziemi, jest, jak krzak przy drodze. Wroóg może go nadepnąć, kopnąć, poszturchnąć, obłamać jego pędy i pręty, lecz sam krzak przydrożny wnet puści nowe pławiny, odrośnie i z wiosną świeżymi liśćmi zazielenieje. Człowiek bezdomny jest, jak żdźbło nawozu karmiące zboża, jarzyny, owoce i zieleni krzaków, trawy i kwiaty najbardziej urocze. Powinno mu być obojętne, kto go w ziemię woruje, kto go depce i kto zeń soki wypija. Jeżeli ten nawóz społeczny, który my deptaliśmy, taksamo, jak nasi poprzednicy we władzy nad nim - Moskale i Niemcy, - ujął karabin i pospołu z panami, mieszczaństwem, z inteligencją, z gospodarzami na roli i robotnikiem fabrycznym wyruszył na wroga, w boju krwią ociekał i zwycięstwo pospołu z innymi wywalczył, to ten jego uczynek chyba nas wszystkich obowiązuje. Nie ochłap łaski, nie nagroda za przelaną krew mu się należy, lecz oddanie wszystkiego, co jest jego w ojczyźnie. Należy podźwignąć się z lenistwa ducha. Ta sama krew ofiarowana i nazawsze dla nas święta, co wytrysła na polu bitwy pod Warszawą z serca bohatera narodu, księdza Skorupki, płynęła strugą z ran bezimiennych polskich żołnierzy, bezrolnych chłopów. Musimy teraz na tę krew się powoływać, wzywając naród polski do wielkich społecznych reform, albowiem ci rycerze za przyszłość Polski polegli. Precz z reakcją! Rzucajmy, ludzie wolni, kamieniem potępienia na wszystkich pismaków, co do reakcyi wzywają, lub wzywać będą, co chcą niedolę proletaryatu bezrolnego ukryć przed narodem zbagatelizować, zasłonić frazesami! Rzucajmy kamieniem potępienia na piastunów urzędu, którzyby reakcyę wdrażać w życie nasze usiłowali! Teraz jest chwila, kiedy Polska może się wydzwignąć z pęt odwiecznych! Musimy teraz czynami naszymi przekonać

świat, zmusić go do uznania prawdy, iż idee, w których imię umierali nasi żołnierze w walkach z armią czerwoną, stały stokroć wyżej od praw, ukutych w ciałym zespole oligarchów Moskwy, które nam ona chciała narzucić. Jeżeli jeszcze nie wcieliliśmy ich w życie, to nosimy ich obrazy w duszach. Musimy niezbity mi dowodami odeprzeć opinię, jakobyśmy byli narodem panów i szlachty, krajem obskurantyzmu, jakoby nasza armia była "białą armią Piłsudskiego". Świat pracy na zachodzie i na wschodzie, w Anglii, we Francji, we Włoszech, w Ameryce, i w samych Niemczech, i w samej Rosji, musi przyznać, iż nieprawdą jest, jakoby Polska była żandarmem burżuazyjnej Europy, niosącym na ostrzu swej broni klęskę postępu świata. Nie możemy dopuścić do tego, żeby pokonanie czerwonej armii na polu bitwy w obronie granic naszej ojczyzny, w obronie naszego ludu zjednoczonego w szczerp jednojęzyczny, nierozdzielny, nierozzerwalny, wieczyste samowładny, w obronie naszej mowy i wolności stanowienia praw własną wolą i dla samych siebie, - stało się tryumfem warstwy bogaczy, panów, posiadzieli, a klęską ludzi ubogich i pogwałceniem szybkości postępu świata. Pokonawszy bolszewizm na polu bitwy, należy postawić zasady wyższe odeń, sprawiedliwsze, mądrzejsze i doskonalsze. Trzeba ruszyć z posad Polskę starą, strupieszalą, gnijącą w jadach, które ją na sycyli najeżdżcy. Sierpniowa burza, która swymi pionierami strzaskała tyle głów junackich, oślepiła na wieki tyle oczu harcerskich, w jamę mogiły pchnęła tyle bohaterskiej energii, musi oczyścić nasze powie trze, zatrute wyziewami podłości. Po krzyku: -do broń! - gdy pokój stanie, powinien się rozlegać od krańca do krańca okrzyk równie skuteczny, jak tamten: -do pracy! Jakiż to ogrom roboty! Jak nieobeszłe morze potrzeby! Stracone Mazury, stracona Warmia, Pomezania, Śląsk Cieszyński! Na Pomorzu stoją puste szkoły, znakomicie pobudowane przez Niemców, a niema w nich nauczyciela, któryby dzieciom kaszubskim w języku polskim nauki udzielał. I odwraca się od nas kaszuba. Nie jesteśmy w stanie wybudować trzydziestu kilometrów kolei z Kościerzyny do Wejherowa, gdy nędzny Gdańsk zdradza nas, napada i znieważa. Wewnątrz kraju, gdzie tylko spojrzeć, wszystko popsute, obniżone, znędzniałe. Tyfus, czerwotka, wszy, brud, niechl

jstwo, brutalstwo, kradzież, przedpotopowe obyczaje, praplastowskie zabobony, zniszczone drogi, popalone mosty, na stacjach kolejowych, jak w chlewach, w wozach dla ludzi bestyalskie walki o miejsce stojące. W dobie gdy młode rycerstwo polskie szło po nocy w bój z Warszawy, w Warszawie paskarz najspokojniej po dnośli cenę chleba...

Na odgłos strzałów, rozlegających się za Bugiem - dr. Julian Marchlewski, jego kolega Feliks Dzierżyński, pomazany od stóp do głów krwią ludzką, i szanowny weteran socjalizmu Feliks Kohn - dali drapakę z z Wyszkowa. Pozostał po nich wielki swąd spalonej benzyny, trochę cukru, oraz wspomnień i dyskursów, prowadzonych przy stole i pod jabłonią cienia tego sadu. Przed wyjazdem dr. Julian Marchlewski powtarzał raz wraz melancholijnie:

"Miałeś, chłopie, złoty róg,

Miałeś, chłopie, czapkę z piór...

Został ci się ino sznur..."

Jak w wielu innych rzeczach, tak i tutaj, niedoszły władca mylił się zasadniczo. Złotego rogu Polski wcale w rękę nie trzymał. Czapka krakowska również mu nie przystoi. Jeżeli jakiś strój, to już chyba okragła, aksamitna czapeczka moskiewska, obstawiona wo koło pawimi piórami prędzej mu będzie pasowała. Tę już do końca życia nosić mu wypadnie. Nawet do biednego sznura od polskiego złotego rogu nie ma prawa ten najeżdźca. Kto na ziemię ojczystą, chociażby grzeszną i złą, wroga odwiecznego naprowadził, zdeptał ją, stratawał, splądrował, spalił, złupił rękoma cudzoziemskiego żołdactwa, ten się wyrzucił z ojczyzny. Nie może ona być dla niego już nigdy domem, ni miejscem spoczynku. Na ziemi polskiej nie ma dla tych ludzi już ani tyle miejsca, ile zajmą stopy człowieka, ani tyle, ile zajmie mogiła. Złoty róg Polski trzyma w rękę z przepotężnej swej siły młode narodu pokolenie. I zadmie weń lada dzień, lada godzina pobudkę nową, nową pieśń życia, od której rozradują się kości pradziadów, dziadów i ojców, rozraduje się młoda krew, co za tej burzy sierpniowej spłynęła z ran w biedną polską ziemię.